

ZEW CTHULHU



Tłumaczenie: Ryszarda Grzybowska

Nie jest wykluczone, że są pozostałości tych wielkich sił i istot... pozostałości bardzo odległego okresu, kiedy... świadomość wyrażała się, byc może, w kształtach i formach dawno już zanikłych, jeszcze przed zalewem rozwijającej się ludzkości... formach, o których tylko poezja i legenda zachowały przelotne wspomnienie, zwąc je bogami, potworami, mitycznymi istotami wszelkiego gatunku i rodzaju...

Algernon Blackwood

I. Horror w glinie

Wydaje mi się, że największym dobrodziejstwem na tym świecie jest fakt, że umysł ludzki nie jest w stanie skorelować całej swej istoty. Żyjemy na spokojnej wyspie ignorancji pośród czarnych mórz nieskończoności i wcale nie jest powiedziane, że w swej podróży zawędrujemy daleko. Nauki - a każda z nich dąży we własnym kierunku - nie wyrządziły nam jak dotąd większej szkody; jednakże pewnego dnia, gdy połączymy rozproszoną wiedzę, otworzą się przed nami tak przerażające perspektywy rzeczywistości, a równocześnie naszej strasznej sytuacji, że albo oszalejemy z powodu tego odkrycia, albo uciekniemy od tego śmiercionośnego światła przenosząc się w spokój i bezpieczeństwo nowego mrocznego wieku.

Teozofowie w swoich domniemaniach wskazują na niesamowity ogrom kosmicznego cyklu, w którym nasz świat i rasa ludzka to tylko wydarzenia przejściowe. Napomykają o dziwnych pozostałościach stosując określenia, które zmroziły by krew w żyłach, gdyby nie zamaskowano ich łagodnym optymizmem. Ale to nie teozofowie przyczynili się do mego przelotnego zetknięcia się z zakazanymi eonami, które przeszywają mnie dreszczem, gdy o nich myślę, i przyprowadzają niemal o szaleństwo, gdy o nich śnię. Zetknięcie się z nimi, tak jak i z wszystkimi przejawami straszliwej prawdy, nastąpiło w momencie przypadkowego łączenia całkiem różnych rzeczy - wiadomości z gazety i notatek zmarłego profesora. Mam nadzieję, że już nikt więcej nie będzie się tym zajmował; jedno jest pewne, że jeśli będę żył, nigdy świadomie nie dostarczę ognia do tego straszego łańcucha. Myślę, że profesor także zamierzał zachować milczenie odnośnie tej części, która była mu znana, i że zniszczyłby swoje notatki, gdyby nie zabrała go nagła śmierć.

Moja znajomość tej sprawy datuje się od przełomu 1926 i 1927 roku, a konkretnie od śmierci wujecznego dziadka, George'a Gammela Angella, emerytowanego profesora języków semickich w Brown University, Providence, Rhode Island. Profesor Angell był powszechnie cenionym autorytetem w dziedzinie starożytnych zapisów i często zasięgali jego opinii dyrektorzy najślawniejszych muzeów; tak więc jego odejście w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat upamiętniło się wielu znakomitym osobom. Jednakże tajemnicze okoliczności jego

śmierci wzbudziły szerokie zainteresowanie wśród miejscowej ludności. Profesor zmarł wracając z Newport; nagle się przewrócił, jak powiadają świadkowie, potrącony przez Murzyna, wyglądającego na marynarza, który wyłonił się z jednego z tych dziwnych mrocznych zaułków na stromym zboczu wzgórza, przez które wiodła krótsza droga do domu zmarłego profesora na Williams Street. Lekarze nie znaleźli żadnych obrażeń, a po burzliwej naradzie doszli do wniosku, że przyczyną śmierci były dziwne zmiany patologiczne w secu, spowodowane szybkim wejściem starszego człowieka na wzgórze. Wtedy nie widziałem powodu, by mieć odmienne zdanie, z czasem jednak zrodziła się we mnie wątpliwość, a nawet coś więcej niż wątpliwość.

Jako spadkobierca i egzekutor mojego wujecznego dziadka - był bowiem bezdzietnym wdowcem - miałem obowiązek przejrzeć dokładnie wszystkie jego dokumenty. W tym celu przewiozłem cały komplet jego akt i skrzyneczek do mego domu w Bostonie. Duża część materiału, który połączyłem w jedną całość, zostanie później opublikowana przez Amerykańskie Stowarzyszenie Archeologiczne, oprócz zawartości jednej skrzyneczki, która wydała mi się niezwykle zagadkowa i której nie miałem ochoty ujawniać przed innymi. Była zamknięta i nie mogłem znaleźć kluczyka, aż wpadłem na pomysł, by obejrzeć dokładnie pierścień, który profesor nosił zawsze w kieszeni. Udało mi się ją otworzyć, ale wtedy stanąłem przed jeszcze trudniejszą i jeszcze bardziej niepokojącą przeszkodą. Bo i cóż miała znaczyć dziwna płaskorzeźba w glinie, bezładne zapiski i jakieś wycinki? Czyżby mój wuj na starość stał się wyznawcą najbardziej wyrafinowanej szarlatanerii? Postanowiłem odszukać ekscentrycznego rzeźbiarza, który był odpowiedzialny za to oczywiste zakłócenie spokoju umysłowego starego człowieka.

Płaskorzeźba była nierównym prostokątem o wymiarach pięć na sześć cali, a grubości około jednego cala; niewątpliwie nowoczesnie zaprojektowana, została jednak wykonana w sposób daleki od nowoczesnej techniki i koncepcji. Bo choć rozliczne i szaleńcze są fantazje futuryzmu i kubizmu, nieczęsto odtwarzają one tajemniczą regularność, jaka się kryje w prehistorycznych zapisach. A z pewnością ta rzeźba kryła w sobie jakieś zapisy; jednakże moja pamięć, chociaż posiadałem wnikliwą znajomość dokumentów i zbiorów mego wuja, zawodziła mnie i w żaden sposób nie mogłem zidentyfikować tego szczególnego przypadku ani nawet domyślać się jego odległej przynależności.

Oprócz zupełnie oczywistych hieroglifów, była tam też figura niewątpliwie obrazkowa w zamierzeniu, choć jej impresjonistyczne wykonanie uniemożliwiało odczytanie jakiejkolwiek koncepcji. Zdawała się być jakimś potworem albo symbolem przedstawiającym potwora, o kształcie, który tylko schorzała wyobraźnia mogła wymyślić. Jeżeli powiem, że moja cokolwiek ekstrawagancka wyobraźnia podsuwała mi jednocześnie obrazy ośmiornicy, smoka i karykatury człowieka, nie będę niewierny duchowi tej płaskorzeźby. Gąbczasta, zakończona mackami głowa wieńczyła groteskową i pokrytą łuskami figurkę ze szczytkami skrzydeł; ale najbardziej szokujący i przerażający był jej ogólny zarys. Tło tej figurki przypominało cyklopową architekturę.

Pismo towarzyszące tej osobliwości, poza poza stosem wycinków gazetowych, wyszło spod ręki profesora Angella i to w ostatnich czasach; nie miało ambicji stylu literackiego. Zasadniczy dokument nosił nagłówek KULT CTHULHU, starannie wypisany drukowanymi literami, żeby uniknąć błędnego odczytania niespotykanego słowa. Manuskrypt został podzielony na dwa działy, z których pierwszy był zatytułowany "1925 - Sen i rozprawa na temat snu H. A. Wilcoxa, Thomas St. 7 Providence, R.I.", a drugi "Opowieść inspektora Johna R. Legrasse, Bienville St. 121, Nowy Orlean, La., w 1908 roku A. A. S. Mtg. -- Notatki na temat Same i prof. Webba sprawozdanie". Jedne rękopisy były krótkie i pobieżne, inne zawierały opowieści dziwnych snów różnych osób, jeszcze inne znów cytaty z teozoficznych ksiąg i czasopism (zwłaszcza z Atlantis i Lost Lemuria), a pozostałe zawierały komentarze na temat długotrwałych sekretnych stowarzyszeń i tajemnych kultów, z odniesieniem do fragmentów mitologicznych i antropologicznych ksiąg źródłowych, takich jak "Złota gałąź" Frazera oraz "Kult więdźm w Zachodniej Europie" Miss Murray. Wycinki odnosiły się głównie do schorzeń umysłowych i objawów szaleństwa lub manii prześladowczych z okresu wiosny 1925.

Pierwsza część głównego manuskryptu zawierała szczególnie niezwykłą opowieść. Okazuje się, że 1 marca 1925 roku szczerzy, ciemnowłosy młodzieniec o neurotycznych cechach, ogromnie podniecony, złożył profesorowi Angellowi wizytę przynosząc z sobą osobliwą płaskorzeźbę w glinie, która wtedy była jeszcze mokra, świeżo wykonana. Okazał wizytówkę z nadrukiem Henry Anthony Wilcox i wuj rozpoznał w nim najmłodszego syna znanej mu szacownej rodziny, studiującego rzeźbę w Szkole Modelarskiej w Rhode Island, a mieszkającego samotnie w budynku Fleur-de-Lys w pobliżu uczelni. Wilcox był młodzieńcem niezwykłym, uważanym za geniusza, ale trochę ekscentrycznym i od dzieciństwa zwracał na siebie uwagę opowiadaniem dziwnych historii i dość osobliwych snów. Sam określał siebie jako "psychicznie nadwrażliwego", ale stateczni mieszkańcy starego handlowego miasta powiadali, że jest po prostu "dziwny". Nigdy nie włączał się w życie otoczenia, aż w końcu stopniowo przestano go w ogóle dostrzegać i znany był tylko nielicznej grupie estetów z innych miast. Nawet Klub Artystyczny w Providence, usiłujący za wszelką cenę zachować swój konserwatyzm, uznał go za przypadek całkiem beznadziejny.

Z okazji tej wizyty, jak podawał manuskrypt profesora, rzeźbiarz zwrócił się z bezceremonialną prośbą do gospodarza, jako znawcy archeologii, o zidentyfikowanie hieroglifów na płaskorzeźbie. Mówił w jakiś senny, sztuczny sposób, w którym czuło się pozę i odpychającą układność; mój wuj odpowiadając zareagował dość ostro, bo wyraźna świeżość rzeźby mogła świadczyć o pokrewieństwie ze wszystkim, tylko nie z archeologią. Odpowiedź młodego Wilcoxa, która wywarła takie wrażenie na wuju, że zapamiętał ją i zapisał dosłownie, była wprost fantastyczna i poetycka, co zapewne cechowało też całą z nim rozmowę, a co ja uznałem za wielce dla niego charakterystyczne. Powiedział: "Bo rzeczywiście jest nowa, jako że wykonałem ją wczoraj w nocy śniąc o dziwnych miastach; a sny są starsze niż zadumany Tyr, pogrążony w kontemplacji Sfinks czy opasany ogrodami Babilon".

I wtedy to rozpoczął tę zawiłą opowieść, która nagle zbudziła uśpioną pamięć i gorączkowe zainteresowanie wuja. Ubiegłej nocy miało miejsce lekkie trzęsienie ziemi, najbardziej odczuwalne w Nowej Anglii na przestrzeni kilku lat, co żywo pobudziło wyobraźnię Wilcoxa. Odpoczywając zapadł w przedziwny sen o wielkich miastach Cyklopów zbudowanych z bloków Tytana i sięgających nieba monolitów, które ociekały zielonym szlamem i ziały grozą tajemniczego horroru. Wszystkie ściany i kolumny pokryte były hieroglifami, a z jakiegoś nieokreślonego miejsca na dole dobywał się głos, który nie był głosem; chaotyczne doznanie, które tylko fantazja mogła przetworzyć w dźwięk, a które on usiłował przekazać za pomocą prawie nie do wymówienia galimatiasu liter: "Cthulhu fhtagn".

Ten werbalny galimatias stał się kluczem do wspomnienia fascynującego i niepokojącego dla profesora Angella. Wypytał rzeźbiarza o wszystko z naukową dokładnością i w wielkim skupieniu przyjrzał się płaskorzeźbie, którą Wilcox wykonał podczas snu, zziębnięty, tylko w piżamie, i nad którą obudził się w kompletnym oszołomieniu. Wuj składał winę na swój wiek - Wilcox potem zeznał - za to, że tak powoli rozpoznał zarówno hieroglify, jak i obrazkowy wzór. Wiele jego pytań wydało się gościowi zupełnie bez związku, zwłaszcza te, w których usiłował powiązać wzór z kultami albo społecznościami; Wilcox nie mógł też zrozumieć coraz to powtarzających się obietnic milczenia, jakie mu składał profesor w zamian za przyjęcie na członka jakiegoś rozpowszechnionego mistycznego czy pogańskiego stowarzyszenia religijnego. Kiedy profesor Angell przekonał się, że rzeźbiarz naprawdę nie ma pojęcia o kultach ani systemach tajemnej wiedzy, zwrócił się do niego z prośbą, aby zdawał mu relacje ze wszystkich swych snów. To zaowocowało, bo w manuskrypcie są opisy codziennych wizyt młodego człowieka, podczas których snuł zdumiewające opowieści o swoich nocnych wizjach. Dominował w nich straszny widok ciemnych, ociekających szlamem kamieni, oraz podziemny głos albo jakaś informacja przekazywana monotonią w sposób zagadkowy i pozbawiony sensu, dający się określić tylko jako bełkot. Dwa dźwięki powtarzane najczęściej można oddać za pomocą tych liter: "Cthulhu" i "R'lyeh".

23 marca, jak było dalej w manuskrypcie, Wilcox się nie zjawił; po przeprowadzeniu wywiadu w miejscu zamieszkania okazało się, że zapadł na jakąś dziwną gorączkę i rodzina zabrała go do domu na Waterman Street. Krzyczał przez całą noc, budząc wszystkich w tym budynku, na przemian to tracąc świadomość, to popadając w delirium. Wuj natychmiast zatelefonował do rodziny i bacznie od tej pory obserwował ten przypadek; odwiedzał też często doktora Tobeya na Thayer Street, który opiekował się pacjentem. Rozgorączkowany umysł Wilcoxa krążył wokół jakichś dziwnych spraw, a doktor mówiąc o tym aż się wzdygał. Były więc opowieści o jego dawnych snach, ale i o jakiejś przedziwnej wielkiej rzeczy na "milorowych wysokościach", która tam chodzi albo się snuje dookoła. Nigdy nie określił wyraźnie tego obiektu, ale szalone słowa, jakie wypowiadał od czasu do czasu, powtórzone przez doktora Tobeya, przekonały profesora, że jest on identyczny jak owo nieokreślone monstrum, które chciał odtworzyć w rzeźbie podczas snu. Wzmianki o tym obiekcie, wedle doktora, były zawsze wstępem do letargu, w jaki popadał młody człowiek. Dziwna rzecz, ale jego temperatura niewiele przekraczała granice normy, natomiast stan ogólny świadczył raczej o autentycznej gorączce niż o jakimkolwiek zakłóceniu umysłowym.

2 kwietnia, około trzeciej po południu, ustąpiły wszelkie symptomy choroby Wilcoxa. Usiadł prosto na łóżku, zdziwił się swoją obecnością w domu, nieświadom zupełnie tego, co zdarzyło się we śnie czy na jawie od 22 marca. Lekarz orzekł, że stan jego zdrowia jest już dobry i Wilcox wrócił po trzech dniach do swojego mieszkania; ale też i przestał być pomocny profesorowi Angellowi. Wraz z powrotem do zdrowia zniknęły wszelkie ślady dziwnych snów i mój wuj przestał prowadzić notatki z jego nocnych wizji po tygodniu bezcelowych i nie związanych z tematem sprawozdań z najzupełniej normalnych snów.

Tu się kończyła pierwsza część manuskryptu, lecz wzmianki odnoszące się do pewnych rozproszonych zapisków dostarczyły mi dużo materiału do myślenia - w gruncie rzeczy tak dużo, że tylko wrodzony sceptycyzm, kształtujący wtedy moją filozofię, może być odpowiedzialny za ciągłą nieufność w stosunku do artysty. Wspomniane notatki były opisem snów rozmaitych osób z tego samego okresu, w którym młody Wilcox składał tak dziwne wizyty. Mój wuj, wydaje się, szybko rozwinął ogromny, na szeroką skalę zakrojony wywiad pośród niemal wszystkich przyjaciół, do których mógł bez posądzenia o zuchwłość zwrócić się z prośbą o relacje z ich snów z podaniem daty co ciekawszych sennych wizji z przeszłości. Na prośbę tę reagowano w różny sposób, jednakże spotkał się ze znacznie większym odzewem niż każdy przeciętny człowiek posiadający do pomocy sekretarkę. Korespondencja w wersji oryginalnej nie zachowała się, ale jego notatki były dokładnym i naprawdę wiele znaczącym sprawozdaniem. Relacje przeciętnych ludzi ze sfer towarzyskich i biznesu - stanowiących tradycyjną "sól ziemi" Nowej Anglii - okazały się prawie pełnym fiaskiem, jednak pojedyncze przypadki niespokojnych, acz nie sprecyzowanych impresji nocnych pojawiają się tu i ówdzie, zawsze między 23 marca a 2 kwietnia - w okresie delirium młodego Wilcoxa. Naukowcy byli trochę pod ich większym wpływem, choć dość niejasny opis czterech przypadków nasówa przelotne obrazy dziwnych krajobrazów, a jeden wspomina o lęku przed czymś wykraczającym poza przyjęte granice wyobraźni.

To od artystów i poetów nadeszły owe trafne odpowiedzi i jestem przekonany, że rozpętałyby się panika, gdyby byli w stanie porównać zanotowane uwagi. W tej jednak sytuacji, z powodu braku oryginalnych listów, uznałem, że kompilator musiał zadawać wiodące pytania albo też sam zredagował listy będące świadectwem tego, co skrycie postanowił zobaczyć. Dlatego też wciąż czułem, że Wilcox w pewnym stopniu świadom wszystkich danych będących od dawna w posiadaniu mego wuja, okpiwał starego naukowca. Odpowiedzi estetów stanowiły bulwersującą opowieść. Między 28 lutego a 2 kwietnia ogromna większość z nich śniła o dziwnych rzeczach, a nasilenie tych snów znacznie narastało w okresie delirium rzeźbiarza. Ponad jedna czwarta spośród tych, którzy cokolwiek donosili, opisywała sceny i dźwięki niewiele odbiegające od tych, które podawał Wilcox, a poniekąd zwracali się z przesywającego ich lęku przed ogromną i jakąś niesłychaną rzeczą widzianą pod koniec snu. Jeden przypadek, szczególnie podkreślany w tym opisie, był bardzo smutny. Jego obiekt, powszechnie znany architekt skłaniający się ku teozofii i okultyzmowi, uległ gwałtownemu napadowi szaleństwa w okresie delirium Wilcoxa i po

kilku miesiącach wyzionął ducha wołając bez ustanku, aby go ocalono przed jakimś zbiegłym z piekieł stworem. Gdyby wuj opatrywał owe przypadki imieniem, zamiast posługiwać się tylko cyfrą, podjąłbym osobiście badania w celu potwierdzenia ich wiarygodności; w tej jednakże sytuacji udało mi się natrafić na ślad ledwie kilku przypadków. Ale te były dokładnie opisane. Często zastanawiałem się, czy wszystkie osoby, które profesor wypytywał, były równie zaskoczone, jak te tu opisane. Dobrze się składa, że żadne wyjaśnienie do nich nie dotrze.

Wycinki prasowe, jak już wspominałem, wskazywały na przypadki paniki, obłędu i ekscentryczności w danym okresie. Profesor Angell zatrudnił chyba całe biuro wycinków prasowych, bo liczba notatek była wprost niesamowita, a źródła rozproszone po całej kuli ziemskiej. Tu oto było samobójstwo nocą w Londynie, człowiek śpiący samotnie, krzyknąwszy przeraźliwie, wyskoczył przez okno. Inny wycinek cytował zaskakujący list do wydawcy gazety w Południowej Ameryce, w którym jakiś fanatyk przepowiada straszną przyszłość na podstawie makabrycznej wizji sennej. Przesłane wycinki z Kalifornii opisują kolonię teozofów odzianych en masse w białe szaty, dla jakiegoś chwalebego spełnienia życzeń, które nigdy się nie ziszczą, podczas gdy wycinki z Indii mówią niejasno o niepokoju tamtejszych mieszkańców, jaki zauważono pod koniec marca. Na Haiti nasilają się orgie czarnoksiężników, zaś afrykańska forpocza donosi o złowieszczych rozruchach. Amerykańscy inspektorzy na Filipinach stwierdzają, że pewne plemiona sprawiają im kłopoty w tym czasie, a nocą z 22 na 23 marca nowojorską policję atakują rozhisteryzowani Lewantyńcy. W zachodniej części Irlandii występują zamieszki i krążą różne legendy, natomiast pełen fantazji malarz, Ardois-Bonnot, wystawia bluźnierczy obraz "Pejzaż ze snu" na paryskim wiosennym wernisażu 1926 roku. A tak liczne kłopoty zanotowano w zakładach dla psychicznie chorych, że chyba tylko cudem lekarska korporacja nie dostrzegła dziwnego paralelizmu i nie wyciągnęła mistycznych wniosków. Ogromny stos wycinków; a ja w tym czasie prawie nie dostrzegałem swego zimnego racjonalizmu, z jakim odkładałem je na bok. Byłem jednak wtedy przekonany, że Wilcox znaj już wcześniej sprawy, o jakich wspomina profesor.

[Początek] [Rozdział II ->]

II. Opowieść inspektora Legrasse

Dawniejsze sprawy, z powodu których sen rzeźbiarza i jego płaskorzeźba stały się kwestią tak wielkiej wagi dla mego wuja, są tematem drugiej części obszernego manuskryptu. Okazuje się, że niegdyś profesor Angell ujrzał piekielne zarysy niesamowitego potwora, głowiąc się nad jakimiś nieznanymi hieroglifami, i usłyszał złowieszcze sylaby, które można było odtworzyć tylko jako "Cthulhu"; a wszystko w tak pełnym zamętu i strasznym powiązaniu, że trudno się dziwić, iż molestował młodego Wilcoxa pytaniami i domagał się szczegółowych danych.

To wcześniejsze zdarzenie miało miejsce w 1908 roku, siedemnaście lat temu, podczas dorocznego zebrania Stowarzyszenia Amerykańskich Archeologów w St. Louis. Profesor Angell, stosownie do swego autorytetu i osiągnięć naukowych, spełniał czołową rolę we wszystkich rozważaniach, był też jednym z pierwszych, do którego zgłosiło się kilka osób spoza stałego grona, jako do wybitnego przedstawiciela tego zebrania, z prośbą o prawidłową odpowiedź na ich pytania i fachowe rozwiązanie nurtujących ich problemów.

Głównym przedstawicielem grona outsiderów, który zresztą wkrótce stał się centralnym obiektem zainteresowania całego zgromadzenia, był mężczyzna w średnim wieku, o dość pospolitym wyglądzie, który przyjechał aż z Nowego Orleanu, aby zdobyć pewne informacje, raczej szczególnej natury, nieosiągalne w żadnym z lokalnych źródeł. Nazywał się John Raymond Legrasse i był inspektorem policji. Przywiózł ze sobą przedmiot będący celem tej wizyty, groteskową, budzącą odrazę i niewątpliwie bardzo starą kamienną statuetkę, której pochodzenia nie był w stanie ustalić.

Trudno przypuszczać, aby inspektor Legrasse interesował się choćby w najmniejszym stopniu archeologią. Wręcz przeciwnie, jego pragnienie, aby wyjaśnić tę zagadkę, miało charakter czysto profesjonalny. Statuetka, bożek, fetysz, cokolwiek to było, została znaleziona kilka miesięcy temu w lasach rosnących na moczarach na południe od Nowego Orleanu podczas oblawy na czarnoksiężników, którzy mieli odbywać tam swoje zgromadzenia; tak niewyklę i tak niesamowite były obrzędy związane z tą statuetką, że policja nie miała wątpliwości, iż natknęła się na jakiś tajemniczy kult, zupełnie nieznanymi i o wiele bardziej szatański niż wszelkie znane dotąd, najbardziej mroczne kultury czarnoksiężników afrykańskich. O jej pochodzeniu, poza chaotycznymi i wprost niewiarygodnymi opowieściami, jakie z trudem wydobyto od schwytanych członków zgromadzenia, nie dowiedziano się absolutnie niczego; stąd usilne dążenie policji, aby nauka o starożytności pomogła zidentyfikować ten przerażający symbol i przyczynić się do wyśledzenia kultu aż po samo jego źródło.

Inspektor Legrasse nie spodziewał się, że statuetka wywoła aż taką sensację. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby wszyscy zebrani tam ludzie nauki popadli w stan euforycznego podniecenia; stłoczyli się wokół niego, by przyjrzeć się maleńkiej statuetce, której niepojęta osobliwość i autentyczny powiew najbardziej odległej starożytności otwierały zupełnie nieznanymi możliwościami. Żadna ze sławnych szkół rzeźbiarskich nie potrafiła rzucić światła na ten niesamowity przedmiot, a jednak na jego zielonkawej powierzchni z nieznanego kamienia były wyryte ślady setek, a nawet tysięcy lat.

Figurka która zaczęła przechodzić z rąk do rąk dla dokładniejszych oględzin, miała około siedmiu a nawet ośmiu cali wysokości i została wykonana w sposób mistrzowski i wysoce artystyczny. Przedstawiała potwora o niewyraźnych antropoidalnych kształtach, głowie ośmiornicy i twarzy pełnej macek, tułowiu gąbczastym i pokrytym łuskami, ogromnych szponach na przednich i tylnych łapach i długich, wąskich skrzydłach z tyłu. Zdawała się zionąć przerażającą i jakąś nienaturalną złośliwością, była jakby trochę wypukła i korpułentna i osadzona na kwadratowym bloku albo postumencie pokrytym nieczytelnymi znakami. Końce skrzydeł dotykały

tylnego brzegu podstawy, podczas gdy długie, zakrzywione szpony skrzyżowanych i podkurczonych zadnich nóg obejmowały brzeg od przodu i sięgały jedną czwartą długości pod spód podstawy. Głowa wyrastająca jakby z nóg była pochylona do przodu, tak że koniuszki czulek na twarzy ocierały się o wielkie przednie szpony obejmujące obejmujące podkurczone i uniesione kolana. Statuetka wyglądała jak żywa i tym bardziej budziła lęk, że jej pochodzenie było tak całkowicie nieznane. Nie ulegało wątpliwości, że jej wiek był nieogarniony; nawet w najdrobniejszym szczególe nie wykazywała związku z żadnym rodzajem sztuki przynależnym do młodej cywilizacji - a właściwie do żadnej cywilizacji znanej na tym świecie.

W tej całkowitej odrębności i wyizolowaniu nawet tworzywo, z którego została wykonana, było tajemnicze, ponieważ miękki, zielonoczarńy kamień ze złocistymi i opalizującymi cętkami i prążkami nie przypominał żadnego znanego w geologii czy mineralogii kamienia. Znaki na podstawie były równie zaskakujące i nie do odczytania; nikt spośród obecnych, choć zgromadziła się reprezentacja ekspertów w tej dziedzinie z połowy świata, nie potrafił znaleźć choćby najmniejszego podobieństwa do jakichkolwiek znanych im nawet najstarszych języków. Znaki te, podobnie jak sama statuetka i materiał z którego została wykonana, przynależały do jakichś bardzo odległych czasów, nieznanymi rodzajowi ludzkiemu; sugerowały, napełniając grozą, ogromnie dawne i bezbożne życie, w którym nasz świat i nasze wyobrażenia nie mają żadnego udziału.

A jednak, kiedy członkowie tego zgromadzenia potrzęsali głowami jeden po drugim i przyznawali zgodnie, że nie potrafili rozwikłać problemu inspektora, znalazł się ktoś, komu wydawało się, że chyba wie co nieco o tej przerażającej statuetce i piśmie na postumencie, po czym z pewnym onieśmieleniem opowiedział dziwną historię. Był to William Channing Webb, profesor antropologii w Princeton University, badacz naukowy raczej mało znany.

Profesor Webb został zaangażowany czterdzieści osiem lat temu jako członek wyprawy badawczej do Grenlandii i Islandii w poszukiwaniu pewnych napisów runicznych, których jednak nie udało mu się znaleźć; a daleko na zachodnim brzegu Grenlandii natknął się na niezwykle plemię czy też kult zdegenerowanych Eskimosów, odprawiających dziwne obrzędy ku czci szatana, a już szczególnie zmroziła go ich pełna premedytacji i odrażająca żądza krwi. Była to religia, o której inni Eskimosi raczej mało wiedzieli, a na którą reagowali jedynie wzruszeniem ramion mówiąc, że pochodzi z okresu bardzo dawnych eonów, jeszcze przed stworzeniem świata. Oprócz potwornych obrzędów i ofiar składanych z ludzi odprawiali jakieś niesamowite, odziedziczone po przodkach rytuały, przeznaczone dla nadrzędnego, starszego diabła albo tornasuka; z tych rytuałów profesor Webb sporządził fonetyczny zapis słuchając wiekowego angekoka albo duchownego-czarownika, odtworzywszy te dźwięki za pomocą rzymskich liter w miarę możliwości jak najdokładniej. Teraz jednak największe znaczenie miał bożek, którego w tym kulcie otaczano czcią i wokół którego wykonywano tańce, gdy zorza polarna wznosiła się wysoko nad okryte lodem urwiska skalne. Była to, jak stwierdził profesor, bardzo prymitywnie wykonana kamienna płaskorzeźba, a na niej szkaradny obraz i jakieś tajemnicze pismo. Zgodnie z tym, co zapamiętał, przypominała w ogólnych zarysach tego właśnie leżącego teraz przed zebranymi potwora.

Powyższe dane, przyjęte przez zebranych z największym zdumieniem i powątpiewaniem, wzbudziły jeszcze większe zainteresowanie inspektora Legrasse; zasypał profesora pytaniami. Mając zanotowany i przepisany tekst rytuału czarowników na moczarach, których jego ludzie aresztowali, zwrócił się z prośbą do profesora, aby przypomniał sobie możliwie najdokładniej sylaby, jakie zapisał wśród diabolicznych Eskimosów. Nastąpiły teraz wzajemne porównania szczegółów, po czym zapanował moment naprawdę przerażającej ciszy, kiedy zarówno detektyw jak i naukowiec ustalili identyczną zgodność frazy obu diabelskich rytuałów odległych od siebie o taki szmat świata. To, co w istocie zarówno eskimoscy czarownicy, jak i kapłani na moczarach w Luizjanie śpiewali maleńkim bożkom, tak się mniej więcej przedstawiało - poszczególne słowa można było odgadnąć na podstawie przerw ustalonych tradycyjnym zwyczajem w śpiewanej frazie:

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn.

Legrasse miał w tym względzie przewagę nad profesorem Webbem, ponieważ kilku z jego więźniów przekazało mu znaczenie tej frazy, zgodnie z wyjaśnieniem, jakie otrzymali od starszych celebrantów. Tekst brzmiał mniej więcej tak:

W tym domu w R'lyeh czeka w uśpieniu zmarły Chtulhu.

Teraz inspektor Legrasse na usilne nalegania zebranych zaczął opowiadać możliwie najdokładniej swoją przeprawę z czcicielami bożka na moczarach; była to opowieść, do której mój wuj, jak się zdołałem zorientować, przywiązywał szczególną wagę. Graniczyła ona z najdziwniejszymi mrzonkami mitomana i teozofa i ujawniała zadziwiający stopień kosmicznej wyobraźni pośród takich mieszkańców krwii i pariasów, po których najmniej można się było tego spodziewać.

1 listopada 1907 roku nowoorleańska policja otrzymała pilne wezwanie na tereny moczarów i lagun, znajdujące się na południu. Tamtejsi osadnicy, w większości prymitywni, ale prostoduszni potomkowie Lafitte'ów, żyli w panicznym lęku przed czymś nieznanym, co zakradało się do nich nocą. Były to niewątpliwie praktyki czarnoksiężskie, ale z takim okropieństwem jeszcze się dotychczas nie spotkali; kilka ich kobiet i kilkoro dzieci zniknęło w momencie, gdy rozległo się złowieszcze bicie bębna w głębi mrocznych, nawiedzonych lasów do których nie zaglądał żaden z okolicznych mieszkańców. Dochodziły stamtąd oszalałe krzyki, jęki udręczonych i zawodzenia mrozące krew w żyłach, pojawiały się też roztańczone, diabelskie płomienie; zastraszonego posłaniec powiedział, że przekracza to już wytrzymałość miejscowej ludności.

Tak więc grupa dwudziestu policjantów w dwóch wozach i samochodzie wyruszyła późnym popołudniem z

roztrzęsionym postąńcem jako przewodnikiem. Na końcu drogi wysiedli i dalej brnęli pieszko pokonując całe mile w milczeniu pośród przerażających cyprysowych lasów, do których dzień nigdy nie zaglądał. Paskudne korzenie i zwisające złowieszczco pętle hiszpańskiego mchu zagradzały im przejście, a co pewien czas zwalisko wilgotnych kamieni albo szczątki zmurszałego muru będące przypomnieniem, jak schorzałe jest to miejsce, potęgowały nastrój grozy, którą budziło każde zniekształcone drzewo i każda kępa porośla grzybami. W końcu wyłoniło się przed nimi osiedle beładnie rozproszonych ubogich chat; rozhiszteryzowani mieszkańcy wybiegli i zgromadzili się wokół migocących latarek. Gdzieś daleko rozlegało się ledwo słyszalne stłumione bicie w bębny; co pewien czas, wraz z powiewem wiatru, dobiegał ścinający krew w żyłach krzyk. Poprzez jasne poszycie, spoza bezkresnych ścieżek lesistej nocy zdawało się przenikać czerwonawe światło. Mieszkańcy tej osady drżeli na myśl, że muszą sami pozostać, i każdy z nich, złękniiony, kategorycznie odmawiał aby zbliżyć się choćby na krok w stronę tego diabelskiego miejsca obrzędów, wobec tego inspektor Legrasse wraz z dziewiętnastoma kolegami zapuścił się bez przewodnika w czarne arkana koszmaru, z jakim jeszcze się w życiu żaden z nich nie zetknął.

Teren, na który wkroczyła policja, miał z dawna ustaloną złą reputację, był absolutnie nieznany, bo nie dotknęła go stopa białego człowieka. Krążyły legendy o tajemniczym jeziorze, którego nie ujrzał jeszcze żaden śmiertelnik, a w którym mieszka ogromny, bezkształtny, biały, polipowaty stwór, o błyszczących ślepiach; tubylcy szeptali, że czarty o skrzydłach nietoperza wylatują z jam w głębi ziemi, aby oddawać mu cześć o północy. Powiadali, że przebywał tam jeszcze przed d'Iberville, przed La Sallem, przed Indianami, nawet jeszcze wtedy, kiedy w lasach nie było ani zwierząt, ani ptaków. Była to zhora nocna, a zobaczyć ją - znaczyło umrzeć. Prześladowała jednak ludzi w snach, wiedzieli więc o niej wystarczająco dużo, aby się trzymać z daleka. Orgia czarowników odbywała się teraz na samym brzegu tego odrażającego terenu, co było już wystarczająco okropne; miejsce odprawiania czarów przerażało tubylców bardziej niż wstrząsające odgłosy i same wydarzenia.

Tylko poezja albo obłąd mogły usprawiedliwić wrzaski, jakie docierały do Legrasse'a, kiedy brnęli poprzez czarne grzęzawisko w kierunku czerwonego blasku i przytłumionego bicia w bębny. Istnieją odgłosy właściwe ludziom i właściwe zwierzętom; straszne jednak są one wtedy, gdy słyszymy głosy ludzkie, a zdają się je wydawać dzikie bestie. Zwierzęca furia i wyuzdana orgia wzbijały się do demonicznych wyżyn, przecinane wyciem i skrzeczącym wrzaskiem najwyższej ekstazy, która rozdzierała i wibrowała w tym spowitym nocą lesie niczym złowroga burza dobywająca się z piekielnych głębi. Od czasu do czasu słabiej sterowane zawrodozenie cichło i to, co zdawało się być dobrze wyćwiczonym chórem ochrypłych głosów, przeradzało się w przyśpiewkę, w której rozbrzmiewała ta ohydna fraza czy też rytuał:

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym drzewa się przerzedzały, natknęli się na prawdziwe widowisko. Czterech spośród ludzi Legrasse'a cofnęło się, jeden zemdłał, a dwaj pod wpływem doznanego wtrząsu, wydali z siebie przeraźliwy krzyk, który na szczęście zagłuszyła rozszalała kakofonia orgii. Legrasse chlusnął bagnistą wodą w twarz omdlałego policjanta, po czym wszyscy stanęli dygocąc, niemal zahipnotyzowani strasznym widowiskiem.

W naturalnej przesiece, jaką było bagnisko, widniała porośla trawą wyspa wielkości około akra, bez drzew i w miarę sucha. Na niej właśnie podskakiwała i wiła się horda ludzkich potworów, jeszcze bardziej niesamowita niż na obrządkach Sime'a Angaroli. Naga gromada hybrydów ryczała, wyła i szponatycznie wyginała się wokół ogromnego ognia w kształcie pierścienia; gdy rozchyłała się zasłona dymu, ukazywał się stojący w samym środku ogniska wielki granitowy monolit, wysoki na jakieś osiem stóp; na jego wierzchołku spoczywała absurdalnie mała i dziwnie wyrzeźbiona statuetka. Z szerokiego kręgu dziesięciu platform rozstawionych w regularnych odstępach wokół spowitego ogniem monolitu zwiślały głową w dół ciała owych mieszkańców osady, którzy zniknęli. Pośrodku tego właśnie kręgu stojący kołem wierni skakali i ryczeli, przesuwając się w prawo w bezustannych bachanaliach pomiędzy kręgiem ciał i płonąącym ogniskiem.

Może zadziałała tu wyobraźnia, a może rozbrzmiewające echo, ale jeden z członków wyprawy, Hiszpan, ogromnie podekscytowany, twierdził, że słyszał w dali, w głębi nie objętego blaskiem ognia lasu starych legend i koszmaru, odzew na odprawiany obrzęd. Z człowiekiem tym, który nazywał się Joseph D. Galvez, spotkałem się i rozmawiałem; okazał się rozrągniony i skłonny do bujnej fantazji. W swoich rozważaniach sięgał nawet tak daleko, że wspominał coś o cichym trzepocie wielkich skrzydeł, o błyszczących oczach i ogromnej białej masie prześwietlającej spoza odległych drzew - - myślę jednak, że nasłuchiwał się zbyt wielu tubylczych zabobonów.

Chwila przerażającego milczenia, jakie ogarnęło ludzi Legrasse'a, nie trwała jednak długo. Pobudził ich obowiązek; choć w tym tłumie celebrantów było około stu mieszkańców krwi, policjanci zaopatrzeni w broń rzucili się bez wahania na to budzące wstręt zgromadzenie. Przez pięć minut trwał zgiełk i chaos nie do opisania. Padaly oszalałe ciosy, strzały, tłum rozproszył się na wszystkie strony; w końcu jednak Legrasse zdołał się doliczyć około czterdziestu siedmiu ponurych jeńców, którym natychmiast kazał się ubrać w szereg pomiędzy dwoma rzędami policjantów. Pięciu spośród wyznawców tgo obrzędu zostało zabitych, dwóch ciężko rannych ich współtowarzysze odnieśli na zaimprovizowanych noszach. Legrasse ostrożnie zdjął z monolitu rzeźbę i zabrał ją ze sobą.

Po bardzo forsownej i nużącej podróży jeńcy zostali przesłuchani na komendzie i okazało się, że wszyscy są ogromnie prymitywnymi mieszkańcami krwi i objawiają zaburzenia umysłowe. W większości byli to marynarze, Murzyni i Mulaci, głównie z Indii Zachodnich albo portugalskiej Brava z wysp Cape Verde; wykonywali czarnoksiężskie praktyki oddając się heterogenicznemu kultowi. Jednakże już po zadaniu im kilku pytań stało się oczywiste, że zachodzi tu zjawisko o wiele głębsze i starsze niż murzyński fetysyzm. Choć tak zwyrodniali i ignorancy, obstawali ze zdumiewającą konsekwencją przy przewodniej idei swojej szkaradnej wiary.

Czcili, jak sami powiadali, Wielkie Dawne Bóstwa, które żyły przed wiekami, kiedy to jeszcze nie było ludzi, a które przybyły do tego młodego świata prosto z nieba. Teraz już ich tutaj nie ma, są głęboko pod ziemią i pod dnem oceanów; ale ich ciała zwierzyły swoje tajemnice pierwszemu człowiekowi podczas snu i on to właśnie stworzył kult, który nigdy nie zaniknie. To właśnie ich kult, który, jak twierdzili jeńcy, zawsze istniał i zawsze będzie istniał, skrywany na dalekich pustkowiach i w mrocznych zakątkach świata, dopóki wielki Cthulhu nie powstanie ze swego spowitego mroku domu w potężnym mieście R'lyeh znajdującym się pod wodą i nie obejmie znowu władzy nad światem. Pewnego dnia, kiedy gwiazdy będą gotowe, rozlegnie się jego wołanie, a tajemniczy kult będzie trwał w oczekiwaniu na jego wyzwolenie.

Do tego czasu nic więcej nie wolno mówić. Jest to tajemnica, której nie zdołają wyjawić żadne tortury. Ludzkość nie jest sama pośród wszystkich rzeczy na ziemi, których jesteśmy świadomi, bowiem z ciemności przybywają cienie i nawiedzają swoich wiernych. Nie są to jednak Wielkie Bóstwa. Człowiek ich jeszcze nie widział. Wyrzeźbione bóstwo to wielki Cthulhu, ale nikt nie potrafiłby powiedzieć, czy tak właśnie owe bóstwa wyglądają. Nikt też nie potrafiłby teraz odczytać starego napisu, ale słowa te zostały kiedyś wypowiedziane. Słowa nucone podczas obrzędu nie są tajemnicą - nigdy jednak nie mówi się ich głośno, tylko szeptem. A znaczą: "W tym domu w R'lyeh czeka w uśpieniu zmarły Cthulhu".

Tylko dwaj jeńcy okazali się na tyle zdrowi na umyśle, aby ich można było powiesić, pozostałych przekazano do różnych zakładów psychiatrycznych. Wszyscy wyparli się udziału w morderstwie podczas obrzędów i twierdzili, że ludzie ci zostali zabici przez Bóstwa o Czarnych Skrzydłach, które przybyły do nich ze swej siedziby pośród nawiedzonych lasów. Jednak żadnego sensownego zeznania nie udało się wydobyć od tajemniczych sprzymierzeńców. Jedynie od bardzo wiekowego Metysa nazwiskiem Castro policja zdołała nieco wyciągnąć, on zaś utrzymywał, że zawiązał do różnych dziwnych portów i tam rozmawiał z nieśmiertelnymi wodzami kultu, żyjącymi pośród gór w Chinach.

Stary Castro pamiętał fragmenty strasznych legend, które podważały teorie teozofów i dowodziły, że zarówno świat, jak i człowiek istnieją od niedawna i są rzeczywiście zjawiskiem przemijającym. Były eony, podczas których inne rzeczy panowały na ziemi i miały swoje wielkie miasta. Pozostałości tych Rzeczy - jak oświecili go nieśmiertelni Chińczycy - - można jeszcze teraz spotkać w postaci gigantycznych skał na Pacyfiku. Zmarły one przed wieloma wiekami, nim jeszcze nastał człowiek, są jednak sposoby, za pomocą których można je przywrócić do życia, kiedy gwiazdy osiągną właściwe położenie w cyklu wieczności. Przybyły z gwiazd i sprowadziły ze sobą swoje wizerunki.

Te Wielkie Stare Bóstwa, wyjaśniał dalej Castro, nie miały ciała ani krwi. Posiadały kształt - czyż nie świadczył o tym ten posążek? - ale nie były zbudowane z materii. Kiedy gwiazdy ustawią się we właściwej pozycji, Bóstwa będą mogły wędrować poprzez niebo ze świata do świata; zaś póki gwiazdy nie mają odpowiedniej konfiguracji, Bóstwa nie mogą żyć. Ale chociaż teraz nie żyją, to naprawdę nie umierają nigdy. Spoczywają w kamiennych domach w swoim wielkim mieście R'lyeh, zabezpieczone czarami potężnego Cthulhu do czasu chwalebego zmartwychwstania, kiedy to gwiazdy i ziemia będą znowu gotowe na ich przyjęcie. Wtedy jednak jakaś siła z zewnątrz musi przyczynić się do ich uwolnienia. Czary, dzięki którym istnieją, jednocześnie powstrzymują je od poruszania się, więc mogą tylko leżeć rozbudzone w ciemności i rozmawiać całe miliony wpływających lat. Wiedzą o wszystkim, co się dzieje we wszechświecie, bowiem porozumiewają się za pomocą przekazywanych myśli. Nawet teraz rozmawiają w swoich grobowcach. Kiedy po nieprzeliczonych wiekach chaosu nastali pierwsi ludzie, Wielkie Stare Bóstwa przemówiły do najwrażliwszych spośród nich kształtując ich sny, bo tylko tą drogą ich język mógł osiągnąć cielesnych ssaków.

- Wtedy to właśnie - wyjawiał szeptem Castro - pierwsi ludzie stworzyli kult małych bożków, które pokazały im Wielkie Stare Bóstwa; bożki zostały sprowadzone na ziemię w tajemniczych wiekach wprost z mrocznych gwiazd. Ten kult nie zaniknie, dopóki gwiazdy nie zajmą właściwego miejsca, a tajemni kapłani nie wyzwolą wielkiego Cthulhu z grobu, aby przywrócić do życia swych podwładnych i objąć panowanie na ziemi. Czas ten łatwo będzie rozpoznać, ponieważ ludzie staną się podobni do Wielkich Starych Bóstw; wolni i swobodni, poza zasięgiem dobra i zła, odrzucając wszelkie prawa i zasady moralne, będą krzyczeć, zabijać i pławić się w radości. Wyzwolone Stare Bóstwa nauczą ludzi, jak krzyczeć, jak zabijać, jak radować się i bawić, a cała ziemia rozgorzeje całopalną ofiarą ekstazy i wolności. Tymczasem jednak ich kult, wyrażany w odpowiednich obrzędach, musi ożywiać pamięć tych dawnych zwyczajów i duchów, zapowiadając ich powrót na ziemię.

Dawniej ludzie porozumiewali się w snach ze Starymi Bóstwami spoczywającymi w grobach, ale potem coś się stało. Wielkie kamienne miasto R'lyeh, wraz z monolitami i grobowcami, skryło się pod falami; głębokie wody, pełne pierwotnej tajemnicy, przez które nawet myśl nie może przeniknąć, odcięły wszelki z nimi kontakt. Jednakże pamięć nigdy nie ginie, a wielcy kapłani twierdzą, że miasto znowu się wyłoni, gdy gwiazdy zajmą prawidłową pozycję. Wtedy wynurzą się z głębi ziemi czarne duchy, pokryte pleśnią i widmowe, pełne tajemnych wieści nagromadzonych w otchłaniach pod niedostępnym dnem oceanów. O nich jednak stary Castro nie miał odwagi mówić. Natychmiast przerwał swą opowieść i żadne perswazje ani też prośby nie zdołały go nakłonić do kontynuowania tego tematu. O rozmiarach Starych Bóstw nawet słowem nie chciał wspomnieć. Wyjawiał tylko, że główny ośrodek kultu znajduje się, jak przypuszczał, pośród nieprzebranych arabskich pustyni, gdzie Irem, miasto Pillarów, spoczywa ukryte i nietknięte. Kult ten nie ma żadnego związku z europejskim kultem czarownic i jest znany wyłącznie członkom tego ugrupowania. Żadna książka na świecie nawet o nim nie wspomina, choć nieśmiertelni Chińczycy twierdzą, że są dwie wzmianki w "Necronomicon" Szalonego Araba, Abdula Alhazreda, które wtajemniczeni mogli by odczytać dowolnie, zwłaszcza ten często dyskutowany kwartet:

Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami,
Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami.

Legrasse, mocno poruszony i z lekka oszołomiony, na próżno wypytywał o historyczną przynależność tego kultu. Castro, oczywiście, wyznał prawdę, kiedy powiedział, że jest to głęboka tajemnica. Uчени z Tulane University nie potrafili rzucić żadnego światła ani na kult, ani na ten posążek, wobec tego detektyw przybył do najwyższych autorytetów w kraju i usłyszał niewiele więcej poza grenlandzką opowieścią profesora Webba.

Gorączkowe zainteresowanie, jakie wzbudziła wśród zebranych opowieść Legrasse'a, a także przywieziona przez niego statuetka, znalazło odbicie w korespondencji poszczególnych uczestników zebrania; natomiast w oficjalnej publikacji stowarzyszenia niewiele wzmiankowano na ten temat. Ostrożność zawsze cechuje tych, którym zdarza się zetknąć z szarlatanerią i czarami. Legrasse wypożyczył na pewien czas statuetkę profesorowi Webbowi, który jednak wkrótce zmarł. Została zwrócona Legrasse'owi i wciąż znajduje się w jego posiadaniu, a niedawno miałem nawet możliwość ją sobie obejrzeć. Jest rzeczywiście potworna i bez wątpienia podobna do rzeźby młodego Wilcoxa.

Nie dziwię się, że opowieść rzeźbiarza tak bardzo wzburzyła mego wuja, bo przecież znał już relację Legrasse'a. Można sobie wyobrazić, jakie myśli wzbudziło w nim to, co usłyszał od wrażliwego młodego człowieka, który ujrzał we śnie nie tylko samą figurkę i dokładny zapis hieroglificzny, jak na statuetce znalezionej na bagnach i na grenlandzkiej płaskorzeźbie, ale jeszcze na dodatek usłyszał co najmniej trzy słowa formuły wymówionej przez eskimoskich wyznawców czarnej magii, a także wyznawców kultu w Luizjanie. Wydaje się więc najzupełniej oczywiste, że profesor Angell z miejsca zainteresował się sprawą i chciał ją poznać jak najdokładniej; ja jednak w głębi ducha podejrzewałem, że młody Wilcox gdzieś usłyszał kiedyś o tym kulcie i po prostu zmyślał opowieści o swoich snach, aby kosztem mego wuja podtrzymać tę tajemnicę. Zgromadzone wycinki z gazet i opowieści o różnych snach były dość przekonującym świadectwem; jednakże mój racjonalny umysł i niezwykłość całej tej sprawy skłoniły mnie do wyciągnięcia wniosków, które wydawały mi się najrozsądniejsze. Tak więc, po dokładnym zapoznaniu się z manuskryptem i zestawieniu go z teozoficznymi i antropologicznymi notatkami, a także z opowieścią Legrasse'a, odbyłem podróż do Providence, żeby zobaczyć się z rzeźbiarzem i powiedzieć mu kilka słów prawdy co do tego, że tak bez ogródek okpił uczonego i starego człowieka.

Wilcox nadal mieszkał sam w budynku Fleur-de-Lys na Thomas Street, będącym szkaradną wiktoriańską imitacją siedemnastowiecznej bretońskiej architektury, który ozdobionym stiukami frontem puszył się wśród pięknych domów w stylu kolonialnym położonych na wzgórzu i zażywał cienia pod najwspanialszą w Ameryce georgiańską strzelistą wieżą. Zastałem go przy pracy i z miejsca zorientowałem się po rozrzuconych we wszystkich pokojach narzędziach, że mam do czynienia z autentycznym i wybitnym talentem. Jestem przekonany, że kiedyś zyska rozgłos jako jeden z największych dekadentów: teraz wyraża się w glinie, ale kiedyś w przyszłości ujawni w marmurze wszystkie te mary nocne i twory fantazji, które Arthur Machen pokazuje w swojej prozie, a Clark Ashton Smith w poezji i malarstwie.

Ciemny, drobny, niedbale ubrany, ledwie obrócił się słysząc pukanie i spytał, czego sobie życzę, nawet nie wstając. Dowiedziawszy się kim jestem, okazał pewne zaciekawienie; mój wuj wzbudził w nim zainteresowanie wypytyjąc tak dociekliwie o jego sny, ale nigdy nie wyjawiał mi przyczyny swojego zainteresowania. Ja również nie przyczyniłem się do wzbogacenia jego wiedzy w tym zakresie i starałem się, zachowując pozory, jak najwięcej z niego wyciągnąć.

Szybko zorientowałem się, że opowieści o jego snach były naprawdę szczerze i nie budzące wątpliwości. To właśnie one i wciąż jeszcze żywe ich wspomnienia wywarły wpływ na całą jego dalszą twórczość; pokazał mi statuetkę będącą wytworem schorzałej wyobraźni, której zarisy, świadczące o sile ciemnych mocy, głęboko mną wstrząsnęły. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem widział taki przedmiot, znany mu był tylko ze snu, a jego ręce kształtowały go bezwiednie. Był to bez wątpienia potwór z jego majaczeń sennych. Nie ulegało wątpliwości, że nie miał najmniejszego pojęcia o kulcie, otoczonym tak ścisłą tajemnicą, może jedynie wuj uchylił rąbka tajemnicy surowo strzeżonej w jego katechizmie; znowu więc zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób zostały mu przekazane tak niesamowite wrażenia.

Mówił o swoich snach dziwnie poetyckim stylem, ze straszną wyrazistością zobaczyłem ociekające wodą miasto Cyklopów zbudowane z oślizgłego zielonego kamienia - którego wymiary geometryczne, jak Wilcox dość osobliwie zaznaczył, były nieprawidłowe - i słyszałem w przerażającym oczekiwaniu nieustanne, półprzytomne wołanie z podziemi: "Cthulhu fhtagn", "Cthulhu fhtagn".

Słowa te stanowiły część strasznego rytuału, który mówił o sennym czuwaniu zmarłego Cthulhu w kamiennej krypcie w mieście R'lyeh, co mną wstrząsnęło do głębi mimo tak racjonalnego stosunku do tej sprawy. Byłem przekonany, że musiał przypadkiem usłyszeć kiedyś o tym kulcie i wkrótce zapomniał o tym, pogrążony w powodzi równie niesamowitej lektury i własnej wyobraźni. Potem, przy jego wzmożonej wrażliwości, znalazło to podświadomy odzew w snach, w płaskorzeźbie i w tej potwornej statuetce, którą trzymałem teraz w rękach; jeśli było to pewnego rodzaju oszukaństwo w stosunku do mego wuja, to najzupełniej niewinne. Ten młody człowiek, chwilami trochę afektowany, chwilami wskazujący brak dobrych manier, nie budził mojej sympatii; ale nie mogłem mu odmówić talentu, ani uczciwości. Rozstałem się z nim przyjaźnie, życząc mu sukcesu, na jaki zasługiwał jego talent.

Sprawa tego kultu wciąż mnie fascynowała i chwilami snuły się przede mną wizje mojej własnej sławy, związanej z badaniami źródeł jego pochodzenia i wszelkich z nim związków. Wybrałem się więc do Nowego Orleanu,

rozmawiałem z Legrassem i innymi uczestnikami dawnej obławy na czarnoksiężników, zobaczyłem tę straszną statuetkę, a nawet miałem możliwość zadać kilka pytań schwytanym jeńcom przebywającym jeszcze w więzieniu. Stary Castro, niestety, zmarł przed kilkoma laty. Wszystko, co usłyszałem z pierwszej ręki, choć nie było w tym nic więcej ponad to, co mój wuj tak szczegółowo potwierdził w swoich zapisach, na nowo obudziło moje zainteresowanie; czułem, że odkryłem ślad prawdziwej, tajemnej i bardzo starej religii, dzięki czemu mogę stać się sławnym antropologiem. Stosunek mój miał w dalszym ciągu podłoże materialistyczne i pragnąłem, aby nadal taki pozostał, a zbieżność sprawozdań ze snów i wycinków zebranych przez doktora Angella przyjmowałem z niewytłumaczalną przekorą.

Jak już wspominałem, zacząłem podejrzewać, a teraz mogę już powiedzieć, że wiem na pewno, iż mój wuj nie zmarł śmiercią naturalną. Przewrócił się na wąskiej drodze prowadzącej przez wzgórze ze starej przystani wkrótce po przypadkowym zderzeniu się z jakimś murzyńskim marynarzem. Nie zapomniałem o obławie w Luizjanie na marynarzy, którzy byli wyznawcami tego kultu, i nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział o ich skrytych metodach i zatrutych igłach, równie bezlitosnych i znanych od najdawniejszych czasów, jak wszystkie tajemnicze obrzędy i wierzenia. To prawda, że Legrasse'a i jego ludzi pozostawiono w spokoju, ale w Norwegii pewnie marynarz, który dużo wiedział, nie żyje. Czyżby dogłębne badania prowadzone przez mego wuja, po zapoznaniu się z relacjami rzeźbiarza, dotarły do złowieszczego uszu? Wydaje mi się, że profesor Angell zmarł, ponieważ wiedział za dużo albo mógł się dowiedzieć za dużo. Czy mnie to również czeka, zobaczymy, bo niewątpliwie ja także nie mała się dowiedziałem.

[<- Rozdział I] [Początek] [Rozdział III ->]

III. Szaleństwo na morzu

Jeżeli niebo chciałoby mnie kiedykolwiek obdarzyć swymi łaskami, to pragnąłbym, aby rezultaty mego przypadkowego zetknięcia się z leżącym przygodnie skrawkiem papieru zostały na zawsze zatarte. Na pewno nie zwróciłbym nań uwagi w moim programie dnia, gdyż był to stary numer australijskiego dziennika "Sydney Bulletin", z 18 kwietnia 1925 r. Nawet biuro wycinków, które w czasie wydania tego dziennika pieczołowicie zbierało materiały do badań naukowych mego wuja, nie zainteresowało się tym numerem.

Już prawie zaniechałem dociekliwych poszukiwań wszystkiego, co wiązało się z "Kultem Cthulhu", jak nazwał go profesor Angell, i wybrałem się do mego uczonego przyjaciela do Paterson w New Jersey; był kustoszem miejskiego muzeum i znanym mineralogiem. Oglądając pewnego dnia przechowywane okazy, poukładane niedbale na półkach w magazynie na tyłach muzeum, zwróciłem uwagę na dość dziwne zdjęcie w jednej ze starych gazet, na której rozłożone były kamienie. Był to "Sydney Bulletin", o którym wspominałem, jako że mój przyjaciel miał szerokie koneksje we wszystkich stronach świata; na zdjęciu widniała niezbyt wyraźna rycina koszmarnej kamiennej statuetki, niemal identycznej z tą, jaką znalazł na bagnach Legrasse.

Czym prędzej wyciągnąłem gazetę spod drogocennego przedmiotu i starannie przeczytałem opis; rozzarowałem się jednak, bo nie był zbyt obszerny. Niemniej zawarte w nim wiadomości miały wielkie znaczenie dla coraz już rządziej prowadzonych przeze mnie poszukiwań; ostrożnie wydarłem ten fragment zamierzając natychmiast przystąpić do akcji. A oto, co zawierał:

Tajemniczy, bezpański statek znaleziony na morzu, "Viligant", przybywa z pozbawionym załogi nowozelandzkim jachtem na holu. Na pokładzie znajduje się jeden człowiek żywy i jeden trup. Opowieść o desperackiej walce i śmierci na morzu. Ocalony żeglarz odmawia jakiegokolwiek relacji z niezwyklej przygody. Znaleziono przy nim dziwnego bożka. Badania w toku.

Należący do Spółki Morrison frachtowiec "Viligant", który wypłynął z Valparaiso, przybył dziś rano do portu w Darling holując pokonany i uszkodzony, ale dobrze uzbrojony parowy jacht "Alert" z Dunedin, N.Z., który został dostrzeżony 12 kwietnia na południowej szerokości geograficznej 34°21', a zachodniej długości geograficznej 152°17', z jednym człowiekiem żywym i drugim zmarłym na pokładzie.

"Viligant" wypłynął z Valparaiso 25 marca, a 2 kwietnia zboczył z wytyczonego kursu z powodu niezwykle silnego sztormu i olbrzymich fal. 12 kwietnia dostrzeżono bezpański statek; choć wydawał się całkiem opustoszały, znaleziono jednak na pokładzie człowieka, ale był prawie nieprzytomny, zaś drugi nie żył już conajmniej od tygodnia.

Żyjący człowiek ścisnął w rękę kamiennego bożka o przerażającym wyglądzie, wysokości około jednej stopy, ale uczeni uniwersytetu w Sydney, Royal Society, a także muzeum na College Street nie znają jego pochodzenia, natomiast pozostały przy życiu człowiek twierdzi, że znalazł go w kabinie jachtu, w maleńkiej kapliczce rzeźbionej w dość pospolite wzory.

Po odzyskaniu przytomności opowiedział niezwyklej i przedziwną historię piractwa i rzezi. Jest to Gustav Johansen, Norweg, człowiek inteligentny, drugi oficer na dwumasztowym szkunerze "Emma" z Auckland, który wypłynął 20 lutego do Callao wraz z załogą składającą się z jedenastu osób.

"Emma" zboczyła z kursu daleko na południe z powodu strasznego sztormu, jaki zerwał się 1 marca, i 22 marca na południowej szerokości geograficznej 49°51', a zachodniej długości geograficznej 128°34' napotkała "Alert", pod dowództwem dziwnie i złowrogo wyglądającej załogi z Kanaków, składającej się głównie z mieszańców krwi. Kapitan Collins otrzymał stanowczy rozkaz odwrotu, ale odmówił; bez żadnego ostrzeżenia posypały się na

szkuner strzały z mosiężnych dział armatnich, stanowiących część wyposażenia jachtu.

Żałoga "Emmy", jak relacjonuje pozostały przy życiu oficer, podjęła walkę i choć szkuner zaczął tonąć z powodu uszkodzenia dna statku, udało im się dopłynąć do jachtu wroga i dostać na pokład. Zmuszeni byli zabić wszystkich, mimo ich pewnej przewagi liczebnej, ponieważ walczyli w sposób bezwzględny i wyjątkowo brutalny, ale też i dosyć niezdarny.

Trzy osoby spośród załogi, łącznie z kapitanem Collinsem i pierwszym oficerem Greenem, poległy w walce; pozostałe osiem osób pod dowództwem drugiego oficera Johansena uruchomiło zdobyty jacht i wzięło kurs w stronę skąd przypłynął, aby przekonać się, z jakiej to przyczyny domagano się od nich odwrotu.

Okazuje się, że następnego dnia ujrzeli małą wysepkę, przy której się zatrzymali, choć o jej istnieniu nie wspominają żadne Źródła; tam właśnie na brzegu zmarło sześciu członków załogi, ale Johansen jest dziwnie powściągliwy w tej sprawie, napomyka zaledwie, że wpadli do jakiejś rozpadliny skalnej.

Potem już tylko Johansen i jego współtowarzysz uruchomili jacht, usiłując dalej żeglować, lecz 2 kwietnia zmógł ich silny sztorm. Od tej chwili aż do momentu ocalenia 12 kwietnia Johansen pamięta niewiele, nawet nie przypomina sobie kiedy zmarł jego towarzysz, William Briden. Nie było żadnej konkretnej przyczyny śmierci Bridena - - najprawdopodobniej nastąpiła skutek silnych przeżyć i wyczerpania.

Depesza z Dunedin donosi, że "Alert" był znany jako statek handlowy i miał złą reputację na wodach przybrzeżnych. Należał do grupy kolorowych marynarzy, których częste spotkania i nocne eskapady w lasy nie budziły większej ciekawości; wypłynął w wielkim pośpiechu tuż po sztormie i trzęsieniu ziemi, jakie miało miejsce 1 marca.

Nasz korespondent w Auckland przekazuje bardzo pochlebne informacje o "Emmie" i jej załodze, a samego Johansena określa jako mądrego i wartościowego człowieka. Admiralicja wszczyna jutro śledztwo w tej sprawie i ma nadzieję, że skłoni Johansena do obszerniejszych relacji.

I to już wszystko, jeszcze tylko zdjęcie diabolicznego posążku. Ale jakież myśli kłębiły się teraz w mojej głowie! Oto nowy skarbiec wiadomości o kulcie Cthulhu i świadectwo, że swoim zasięgiem obejmuje zarówno morze, jak i ląd. Z jakiego powodu załoga "Alertu" wydała "Emmie" rozkaz odwrotu krążąc po tych wodach ze swoim koszmarnym bożkiem? Cóż to za nieznaną wyspa, na której sześciu członków załogi "Emmy" zginęło, a Johansen tak niechętnie o tym mówi? Jakie są wyniki śledztwa wiceadmiralicy i co jest wiadome o tym szkodliwym kulcie w Dunedin? A co najbardziej zdumiewające, to niezwykła i wprost zaskakująca zbieżność dat, która nadawała złowieszcze, a teraz już niezaprzeczone znaczenie, różnym wydarzeniom, tak skrętnie spisywanym przez mego wuja.

1 marca - u nas 18 lutego wedle czasu międzynarodowego - nastąpiło trzęsienie ziemi i zaczął się sztorm. "Alert", wraz ze swą hałaśliwą załogą, wypłynął w wielkim pośpiechu z Dunedin, jakby wezwany władcym rozkazem, zaś na drugiej półkuli poeci i artyści zaczęli śnić o dziwnym, ociekającym wodą mieście Cyklopów, natomiast młody rzeźbiarz stworzył podczas snu przerażający wizerunek Cthulhu. 23 marca załoga "Emmy" wylądowała na nieznaną wyspę, na której zginęło sześciu jej członków; w tym czasie sny co wrażliwszych ludzi charakteryzowały się wzmożoną wyobraźnią i pogrążały się w mroku pełnym lęku przed strasznym pościgiem olbrzymiego potwora, natomiast architekt popadł w obłęd, a rzeźbiarz ni stąd, ni zowąd popadł w delirium! A jak to było ze sztormem, który się zerwał 2 kwietnia? Kiedy ustały sny o mieście Cyklopów, zaś Wilcoxa bez żadnego śladu opuściła wysoka gorączka? Co to wszystko miało znaczyć? A na dodatek jeszcze te aluzje starego Castro do zatopionych, a zrodzonych pośród gwiazd Starych Bóstw i ich ponownym przyjsciu na świat; o ich niezniszczalnym kulcie i władzy nad snami. Czyżbym dreptał na krawędzi kosmicznego horroru, nie do zniesienia dla człowieka? Jeśli tak jest, musi to być horror w zasięgu pojęć wyłącznie umysłu, bo przecież 2 kwietnia położył kres temu, co zaczynało stanowić jakieś potworne zagrożenie dla duszy ludzkiej.

Wieczorem, po całym dniu wypełnionym rozlicznymi depeszami i ustaleniami, pożegnałem mego przyjaciela i wyruszyłem pociągiem do San Francisco. Nim upłynął miesiąc byłem już w Dunedin; tam jednak okazało się, że niewiele wiedzą o wyznawcach tego dziwnego kultu, snujących się po starych nadmorskich tawernach. Szumowiny portowe były zbyt powszechnym zjawiskiem, aby miały przyciągać czyjąkolwiek uwagę; jednakże tu i ówdzie wspomniano pewną wyprawę mieszaińców w głąb lasu i widać było czerwony ogień w odległych górach.

W Auckland dowiedziałem się, że jasnowłosa Johansen powrócił siwy po przeprowadzonym w Sydney śledztwie, które jednak nic nowego nie wniosło. Sprzedał dom na West Street i przeniósł się z żoną do swojej siedziby w Oslo. Nic więcej nie mówił przyjacielom o swoich emocjonujących przeżyciach, powtórzył to samo, co zeznał przedstawicielom admiralicji. Jedyne, co mogli dla mnie zrobić, to podać mi jego adres w Oslo.

Pojechałem z kolei do Sydney i przeprowadziłem rozmowę z marynarzami i członkami wiceadmiralicy, ale nie dowiedziałem się niczego rewelacyjnego. W Circular Quay w Sydney zobaczyłem "Alert", który został sprzedany i pływał jako statek handlowy, ale to też nic mi nie dało. Przykucnięty bożek z głową sepii, tułowiem smoka, skrzydłami pokrytymi łuską i postumentem zapisanym hieroglifami, był przechowywany w muzeum w Hyde Parku; przyglądałem mu się długo i dokładnie - było to niezwykle precyzyjne bóstwo, równie tajemnicze, antyczne i wykonane z dziwnego, niespotykanego na ziemi materiału, jak statuetka Legrasse'a, tylko o mniejszych wymiarach. Dla geologów, jak poinformował mnie kustosz, okazało się to prawdziwą zagadką; twierdzili, że nie ma na świecie skały, z której został wykonany ten bożek. Wtedy to przypomniałem sobie ze zgrozą, co stary

Castro powiedział Legrasse'owi o pierwotnych Wielkich Bóstwach; "Przybyły z gwiazd i sprowadziły ze sobą swoje posągi".

Poruszony do głębi i z zamętem w głowie, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczyłem, postanowiłem odwiedzić Johansena w Oslo. Natychmiast wyruszyłem statkiem płynącym do stolicy Norwegii i pewnego dnia w jesiennej porze wysiadłem na starannie utrzymanym wybrzeżu w cieniu Egebergu.

Dowiedziałem się, że Johansen mieszka w Starym Mieście Króla Harolda Haardrada, które przez całe stulecia zachowało nazwę Oslo, podczas gdy największe miasto przyjęło nazwę Christiania. Pojechałem tam taksówką i z bijącym sercem zapukałem do drzwi schludnego starego domu, od frontu pokrytego tynkiem. Otworzyła mi kobieta w czerni, o smutnej twarzy; doznałem wielkiego rozczarowania, kiedy powiedziała mi słabą angielszczyzną, że Gustava Johansena już nie ma na tym świecie.

Wkrótce po powrocie zmarł, ponieważ przeżycia na morzu w 1925 roku, jak wyznała jego żona, złamały go. Nie powiedział jej nic więcej poza tym, co przekazał ogołowi, zostawił jednak manuskrypt - w "sprawach technicznych", jak to określił - w języku angielskim, najwyraźniej po to, żeby ustrzec ją przed ewentualnym przeczytaniem. Szedł wąską uliczką w pobliżu doków Gothenburga, gdy z okienka na poddaszu spadła mu na głowę sterta papierów. Dwaj hinduscy marynarze podbiegli natychmiast i pomogli mu wstać, ale nim przybył ambulans, już nie żył. Lekarze nie stwierdzili żadnej konkretnej przyczyny śmierci, poza ogólnym wyczerpaniem i osłabieniem serca.

Czułem, że do szpiku kości przenika mnie groza i że nie opuści mnie, dopóki nie spocznę na zawsze - "przypadkowo" lub w jakiś inny sposób. Przekonawszy wdowę, że moje związki z jej mężem dotyczą właśnie owych "technicznych spraw", które upoważniają mnie do przeczytania tego manuskryptu, wypożyczyłem dokument i zabrałem się do czytania na statku płynącym do Londynu.

Był to prosty, chaotyczny zapis - post facto pamiętnik naiwnego marynarza, w którym starał się przypomnieć każdy dzień całej tej koszarnej podróży. Nie potrafię dosłownie powtórzyć treści, gdyż jest ogromnie zawiła i rozwlekła, ale przekazanie samego jej sensu wystarczy, aby zrozumieć, dlaczego chlupot fal o burtę był dla mnie nie do zniesienia i musiałem sobie zatkać uszy watą.

Johansen, dzięki Bogu, nie znał całej prawdy, mimo że widział miasto i tę Rzecz, ale ja już nie zaznam spokojnego snu mając świadomość tych wszystkich okropności które czają się nieustannie poza życiem w czasie i przestrzeni, i wszystkich tych bezbożnych bluźnierstw ze starszych gwiazd, które drzemią pod wodami mórz, a które są znane i czczone przez wyznawców koszarowego kultu, zawsze gotowych do ich wyzwolenia i wydostania się na świat, gdy tylko trzęsienie ziemi wydobędzie ponownie to wielkie kamienne miasto ku słońcu i powietrzu.

Podróż Johansena rozpoczęła się tak, jak zeznał w wiceadmiralicji. "Emma" z ładunkiem wypłynęła z Auckland 20 lutego i znalazła się w zasięgu sztormu o straszliwej sile, spowodowanym przez trzęsienie ziemi, które musiało wyzwolić z dna morskiego koszmara nawiedzające w owym czasie sny rozmaitych ludzi. Statek, odzyskawszy równowagę, płynął swoim kursem, gdy 22 marca został zatrzymany przez "Alert"; czytając ten fragment, wyczuwałem żal Johansena, jaki ogarnął go na widok zbombardowanego i tonącego statku. O ciemnoskórych fanatykach kultu na "Alercie" wspomina Johansen z wyraźnym lękiem. Przejawiali jakieś ohydne cechy, zagłada zdawała się być traktowana przez nich niemal jak obowiązek i Johansen wykazuje szczerze zdumienie, że podczas przesłuchania w sądzie jego załozdże zarzucano bezwzględność postępowania. Potem, płynąc na zdobytym jachcie pod dowództwem Johansena, wiedzeni ciekawością, ujrzeni wielką kamienną kolumnę wyrastającą z morza, a na 47°9' południowej szerokości geograficznej i na 126°43' zachodniej długości geograficznej natknęli się na błotnisty, mulisty brzeg i na wyniosłe budownictwo Cyklopów, będące namacalnym dowodem najstraszliwszego postrachu ziemi - koszmaru miasta R'lyeh, zbudowanego w niezmiernych eonach, których nie obejmuje historia, przez ogromne, odrażające poczwary przybyłe z mrocznych gwiazd. W tym mieście spoczywał wielki Cthulhu oraz jego horda skryta w zielonych, mulistych grobowcach, która przekazywała, po niezliczonych cyklach, swoje myśli; to one właśnie wywołały u wrażliwych ludzi sny pełne lęku i wzywały władczy głos wiernych do wzięcia udziału w pielgrzymce wyzwolenia i odrodzenia. Tego wszystkiego Johansen nie podejrzewał, ale Bóg jeden wie, co wkrótce zobaczył.

Przypuszczam, że tylko jeden szczyt góry, szkaradna twierdza-monolit, w której spoczywał wielki Cthulhu, wyłonił się z wody. Kiedy myślę o rozmiarach tego wszystkiego, co może się tam w dole znajdować, mam ochotę przestać istnieć. Johansen i jego ludzie zostali porażeni strachem przez kosmiczny majestat ociekającego wodą Babilonu starszych demonów i z pewnością odgadli bez żadnych oświecających wskazówek, że to nie ma związku z tą ani też żadną inną znaną nam planetą. Lęk przed niewiarygodną wielkością tego zielonawego kamiennego bloku, przed zdumiewającym podobieństwem ogromnych posągów i płaskorzeźb do przedziwnej statuetki znalezionej w małej kapliczce na "Alercie", przebija wyraźnie z każdego słowa manuskryptu przerażonego marynarza.

Nie mając najmniejszego pojęcia o futurologii Johansen prawie osiągnął tę wiedzę opisując miasto, bo zamiast mówić o jakiejś określonej jego strukturze czy budowlu, rozwodzi się tylko nad niesamowitym wrażeniem, jakie robią olbrzymie kąty i kamienne powierzchnie - zbyt wielkie, aby podlegały prawom czy właściwościom tej ziemi, świętokradcze z powodu ohydnych wizerunków i hieroglifów. Wspominałem o nich, ponieważ wiąże się to z czymś, o czym napomknął Wilcox opowiadając o swoich straszliwych snach. Powiedział, że geometria tego miejsca widzianego we śnie wykraczała poza granice normy, nie zgadzała się z prawem Euklidesa, a poza tym miejsce to wydawało paskudną woń nieznaną pośród naszych sfer niebieskich i we wszechświecie. A teraz prosty marynarz odnosił te same wrażenia stojąc oko w oko z ową straszną rzeczywistością.

Johansen i jego ludzie podpłynęli do pochyłego, mulistego brzegu monstualnego akropolu i ślizgając się zaczęli się wspinać na tytaniczne wilgotne bloki, które najprawdopodobniej nie były schodami przeznaczonymi dla zwykłych śmiertelników. Słońce na niebie zdawało się jakby wypaczone, kiedy się na nie patrzyło poprzez polaryzującą miazmę dobywającą się z tego perwersyjnego, nasiąkniętego morzem wnętrza, i jakaś niesamowita groza oraz niepewność czaiły się chytrze w tych zwariowanych, zwodnych wymiarach rzełbionej skały, na której za pierwszym spojrzeniem widziało się wypukłość, za drugim wklęsłość.

Wszystkich odkrywców ogarnęła jakaś dziwna trwoga, jeszcze nim zdolali dostrzec coś bardziej określonego niż skała, szlam i wodorosty. Każdy z nich najchętniej umknąłby natychmiast, gdyby nie obawa przed wzgardą pozostałych, i tylko dla pozoru rozglądali się - na próżno jak się okazało - za jakąś drobną pamiątką.

Portugalczyk Rodriguez wspiął się aż do samego podnóża monolitu i wydał okrzyk na widok tego, co tam zobaczył. Wszyscy pozostali udali się więc za nim i spoglądali z wielkim zaciekawieniem na ogromne wyrzełbione wrota wraz ze znaną już płaskorzełbą w kształcie kałamarnicy-smoka. Przypominały, jak napisał Johansen, wielkie wrota stodoły; wszyscy byli przekonani, że są to drzwi, z powodu rzełbionej belki, progu i framug, choć nie mogli się zdecydować, czy leżą one płasko jak drzwi zapadowe, czy pochyło jak zewnętrzne drzwi do piwnicy. Według słów Wilcoxa, wymiary geometryczne w tym miejscu były na opak. Trudno byłoby stwierdzić, czy morze i ziemia mają tutaj kształt horyzontalny, ponieważ pozycja wszystkiego wydawała się zupełnie niespotykana.

Briden pchnął skałę w kilku miejscach, bez żadnego rezultatu. Donovan idąc wzdłuż brzegu delikatnie przesuwając po niej ręką i co pewnien czas naciskał ją w różnych miejscach. Potem bezskutecznie usiłował się wspiać po groteskowym kamiennym kształcie - a można by to nazwać wspinaczką, gdyby ów kształt nie był w gruncie rzeczy poziomy - i wszyscy nie mogli się nadziwić, że na tym świecie znajdują się aż tak ogromne wrota. Natomiast na samym wierzchu płaszczyna wielkości akra delikatnie i stopniowo stawała się wklęsła, po czym wszyscy ujrzeli, że jest dziwnie ruchoma.

Donovan prześlizgnął się albo też w jakiś sposób przeskoczył przez te ościeże, czy też obok nich, i dołączył do swoich towarzyszy, którzy obserwowali niezwykle zjawisko jakby cofania się szkaradnie rzełbionego portalu. W całej tej fantazji pryzmatycznego zniekształcenia przesuwając się ukośnie, w sposób zupełnie nieprawdopodobny, będący zaprzeczeniem wszelkich praw materii i perspektywy.

Otwór zionął czernią niemal namacalną. Ten mrok był jednak zjawiskiem pozytywnym; przesłaniał bowiem część wewnętrznych ścian, które byłyby widoczne, a w tym momencie buchał ze swego uwięzienia trwającego całe eony lat niczym dym, zaciemniając nawet słońce, kiedy tam wymykał się chyłkiem na trzepoczących błoniastych skrzydłach wprost ku pomarszczonemu, wklęsłemu niebu. Woń dobywająca się z nowo otwartych głębi była wprost nie do zniesienia, a po chwili Hawkins, mający dobre ucho, posłyszał na samym dole nieprzyjemny, jakby bulgocący głos. Wszyscy zmienili się w słuch, stojąc w milczeniu, gdy nagle wysunęło się To, kapiące i ośliżłe, po omacku przecisnęło przez czarne wrota swoje galaretowato-zielone cielsko i wy dostało się na powietrze miasta zatrutego szaleństwem.

Pismo biednego Johansena, kiedy o tym wspomina, świadczy o zupełnym wyczerpaniu. Spośród sześciu mężczyzn, którzy nigdy nie dotarli do statku, dwóch zginęło na miejscu w tym przerażającym momencie, zabił ich strach jaki nimi zawładnął. Nie sposób opisać tej Rzeczy - nie ma słów dla takiej otchłani wrzasku i trwającego od niepamiętnych czasów obłędu, dla tak niesamowitych zjawisk będących zaprzeczeniem materii, siły i porządku panującego w kosmosie. Góra szła, a raczej człapała. Boże drogi! Czyż można się dziwić, że na drugim końcu świata architekt dostał obłędu, biednego Wilcoxa trawiła gorączka w tym telepatycznym momencie? Ta Rzecz bożków, zielona, lepka ikra gwiazd, obudziła się, aby domagać się swoich praw. Gwiazdy znalazły się we właściwej pozycji i czego nie zdołał dokonać odwieczny kult i jego wytyczony program, tego dokonała garomada nieświadomych marynarzy. Po niezliczonych latach wielki Cthulhu był znowu wolny i spragniony uciechy.

Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, zwiotczałe szpony porwały trzech mężczyzn. Byli to Donovan, Guerrero i Angstrom. Parker poślizgnął się, gdy trzej pozostali mknęli jak szaleńcy po bezkresnym horyzoncie pokrytym zielonym osadem w kierunku statku i Johansen zaklina się, że pochłonał go kamienny kąt, który znalazł się tam zupełnie niespodziewanie; kąt, który był ostry, a sprawiał wrażenie rozwartego. Tak więc Briden i Johansen dotarli do łodzi i desperacko płynęli w stronę "Alertu", podczas gdy ten straszliwy potwór opadł na muliste kamienie i niezdecydowanie zaczął krążyć nad brzegiem wody.

Parowiec nie ucierpiał na tyle, by pójść na dno, choć opóściła go cała załoga, trzeba tylko było przez parę minut gorączkowo uwijać się z góry na dół pomiędzy kotłami i maszynami, żeby go uruchomić. Powoli, powoli, pośród wynaturzonych koszmarów tej nieprawdopodobnej scenerii "Alert" zaczął burzyć śmiercionośną wodę, tymczasem na kamiennym brzegu-kostnicy, nie należącym do tego świata, tytaniczna Rzecz pochodząca z gwiazd śliniła się i mamrotała niczym Polifem rzucając przekleństwa na odpływający statek Odyseusza. Wtem, śmieiej niż wspomniany cyklop, Wielki Cthulhu wślizgnął się pod wodę i rozpoczął pościg wzniecając olbrzymie fale o sile dotąd zupełnie niespotykanej. Briden, który się obejrzał, dostał obłędu i co chwila wybuchał śmiechem, a pewnej nocy, kiedy Johansen w gorączce wędrował po statku, znalazł go w kabinie już bez życia.

A jednak Johansen się nie poddał. Zdając sobie sprawę, że owa Rzecz z pewnością zawładnie "Alertem", jeśli statek nie rozwinie pełnej szybkości, zdecydował się na czyn desperacki; uruchomił najwyższe obroty silnika, poczym niby błyskawica pobiegł na pokład i odwrócił koło. Morze huczało wirując i pieniając się, a kiedy statek wznosił się na coraz wyższych falach, dzielny Norweg skierował go wprost na ścigającą galaretę, która unosiła się nad wzburzoną wodą niczym ster diabelskiego galeonu. Ohydna głowa kałamarnicy z wijącymi się czułkami

uniosta się prawie do bukszprytu niezłomnego statku, ale Johansen prął przed siebie niczym nie zrażony.

Rozległ się huk, jakby pękła dętka, rozlało się coś w rodzaju grząskiej, cuchnącej brei jakby z rozłupanego samogłowa, roztoczył się smród tysiąca otwartych grobów, a odgłosu, jaki temu towarzyszył, nie przelałby na papier żaden kronikarz. Przez chwilę cały statek został skażony gryzącą, oślepiającą zieloną chmurą, poczym już tylko na rufie wrzała jadowita kipiela; dalej zaś - o Boże! - rozproszona masa tej niesamowitej, pochodzącej z niebios ikry łączyła się znowu w galaretowate tworzywo przybierając swą ohydłą postać, a tymczasem odległość od niej zwiększała się z każdą sekundą, w miarę jak "Alert" nabierał coraz większej szybkości pod wpływem silnego działania pary.

I to wszystko. Potem Johansen już tylko rozmyślał nad bożkiem umieszczonym w kabinie i wykonywał ledwie parę niezbędnych funkcji, takich jak przygotowanie jedzenia dla siebie i tego śmiejącego się, obłąkanego człowieka. Po tym pierwszym, bardzo odważnym zrywem przestał sterować statkiem; tak jakby stracił wtedy duszę. 2 kwietnia zerwał się sztorm, a jego świadomość pogrążyła się w mroku. Ma poczucie widmowego wirowania po nieznanym morzach nieskończoności, oszałamiającej jazdy na ogonie komety poprzez toczący się wszechświat, a także histerycznego przeczucia się z piekła na księżyc i z księżycyca do piekła, przy wtórze rozchichotanego chóru pokrętnych, wesołkowatych starszych bogów i zielonych, nietoperzoskrzydłych, szyderczych diabłów.

Nadeszło wyzwolenie z tego snu - "Viligant", sąd wiceadmiralski, ulice Dunedin i długa powrotna droga do domu w okolicy Egebergu. Nie mógł tego opowiedzieć nikomu, uznali by go za szaleńca. Postanowił to wszystko opisać jeszcze przed śmiercią, ale żona nie powinna się o tym dowiedzieć. Śmierć będzie dobrodziejstwem, jeśli tylko zdoła zatrzeć te wspomnienia.

Ten właśnie dokument przeczytałem i włożyłem do blaszanego pudełka koło płaskorzeźby i notatek profesora Angella. Tam też włożę mój własny opis, ten sprawdzian mojego stanu psychicznego, w którym zgromadzone jest wszystko to, co, mam nadzieję, po raz drugi już nigdy więcej nie będzie gromadzone. Ujrzałem to wszystko, co jest koszmarem tego świata, ale od tej chwili zarówno wiosenne niebo, jak letnie kwiaty będą dla mnie zatrute. Tak jak odszedł wuj i biedny Johansen, tak i ja odejdę. Zbyt wiele wiem, a kult wciąż żyje.

Cthulhu też wciąż żyje, jak sądzę, w kamiennej otchłani, która jest jego schronieniem od czasu, gdy słońce było jeszcze młodą planetą. Jego przeklęte miasto jest znowu zatopione w morzu, gdyż "Viligant" popłynął na to miejsce po kwietniowym sztormie; jednakże wyznawcy Cthulhu na ziemi wciąż ryczą i harczą, i popełniają morderstwa wokół bożka ustawionego na monolicie w odludnych miejscach. Cthulhu musiał niespodziewanie utonąć i zapaść się w swoją czarną otchłań, bo w przeciwnym razie świat rozbrzmiewałby teraz krzykiem przerażenia i obłędu. Kto wie, jaki będzie koniec? To, co się wynurzyło, może zatonać, a to, co zatonało, może się wynurzyć. Potwór czeka i drzemie w głębinie, a rozkład rozprzestrzenia się wokół chylących się do upadku miast. Czas nadejdzie - ale nie wolno mi o tym myśleć, nie mogę! Błagam tylko aby wykonawcy mego testamentu zabezpieczyli ten manuskrypt, jeżeli mnie przetrwa, przed zuchwalstwem i dopilnowali, aby ludzkie oko na nim nie spoczęło.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[<- **Rozdział II**] [**Początek**]